

ANDRZEJ ZAMOJSKI

OSTATNI RAZ WIDZIAŁEM GO
Z PROFILU

WYDAWNICTWO J, WROCAW 2025

Oko. Pierwsze. Potem drugie. Kolejność nieważna. Ważne było pierwsze pięć sekund po przebudzeniu. Na ich podstawie Anthony potrafił z niezawodną precyzją określić, jaki będzie miał dzień. Oczywiście nie wszystko zależało od tego, ale nawet największe radości i największe smutki były podkreślane lub neutralizowane przez ten poranny szkielet nastroju. Dzisiaj było OK, a nawet bardzo OK. Był w domu sam. Cisza. Żona z synem wyjechali do przyjaciółki za miasto, raptem kilka kilometrów od Londynu, a czuł, że dzielą go od nich lata świetlne. Chyba przez to pandemiczne przywiązanie. Te osiemnaście miesięcy, które przeżyli głównie w swoim trzyosobowym uniwersum, niemal całkowicie ich scalało w jeden organizm. Jak rozpoznawał swój nastrój po tych kluczowych sekundach po przebudzeniu, tak rozpoznawał nastrój Jass i Ziggy'ego. Po sposobie chodzenia, po spojrzeniu, po grymasie twarzy, po dwóch wypowiedzianych zdaniach. Lub niewypowiedzianych. Oni mieli pewnie to samo z nim. Odarliśmy się z tajemnic – pomyślał. A tajemnice to był jeden z jego najmocniejszych atutów. Oczywiście nie dla najbliższych, ale tutaj też chciał mieć dla siebie swoje przewagi. Może dlatego dali mu tych kilka dni dla samego siebie. Wiedział, że nie dlatego.

– Cześć, kocie – no tak, nie był całkiem sam w domu. Przy uchu usłyszał mruczenie Dextera. Stary przyjaciel w końcu zaczął spać w nocy dłużej od nich. Leżał jak rogal owinięty wokół jego głowy, spychając go z puchatej poduszki. Ważył ze dwa kilo poniżej swojej szczytowej, naturalnej wagi, coraz rzadziej wychodził na zewnątrz, spał permanentnie. Tylko jego spojrzenie pozostało niezmiennie wnikliwe. Po kociemu wymuszające. Przez te miesiące widział, jak sukcesywnie ze starego, kudłatego przyjaciela ucieka energia. Mądry kot. Zwolnił tempo, zwolnił wyciek energii. Muszę to powiedzieć tacie – przeleciało mu przez głowę.

Włączył rolety. Szczeliny świetlne zaczęły się powiększać, ujawniając pełne poranne światło. Kwietniowe słońce. Było zimno, ale ten chłód dawał nadzieję na bliską zmianę. Zmrużył oczy. Lubił je mrużyć. Jak nie musiał, nie nosił okularów przeciwsłonecznych. Zbyt często używał ich do ukrywania swojej tożsamości.

Poszedł do łazienki. No tak, muszę się trochę ogarnąć – ziewnął, zobaczywszy swoje odbicie w lustrze. Podczas pandemii blond włosy zrobiły się przydługawe. Owszem, Jass je przycinała, był też kilka razy u fryzjera, ale... No i broda. Chyba w trzydziestu kolorach. Od żeliwnych, ciemnobursztynowych, przez jaskrawo rude, blond, aż po siwe. Jass kategorycznie zabraniała mu ją zgolić. Zresztą Ziggy też uważał, że tato tak właśnie wygląda i ma wyglądać. Przyjął to. Sucha skóra. Nałożył na palce trochę kremu i posmarował pod oczami, wokół nosa, sam nos, między brwiami i czoło. Schematy – niemal jak Rafael Nadal przed oddaniem serwisu. Uśmiechnął się do siebie.

Kawa, kawa. Koniecznie kawa. Mimo że był dosyć wyspany. Jego życie polegało na nakręcaniu się i uspakajaniu. Szukaniu tego twórczego poduszkowca. Nieco nad ziemią, ale nie w chmurach. Zjadł cokolwiek, by wrzucić coś na żołądek przed kawą. Popatrzył na ekspres do kawy. Nie lubił go. Ten ekspres żył własnym życiem. Nigdy nie zrobił dwóch takich samych kaw pod rząd. Gdzie jest kawiarka? Ta aluminiowa kawiarka, która dawała dwa kubki kawy, tak mocnej, jak lubił. Jest. Za thermomixem, trzema warstwami słoików i butelek z różną zawartością, i za granitowym, ciężkim młódką. Zmiał kawę w młynku, nalał wody do dolnego zbiorniczka, wsypał kawę do sitka, zakręcił, aż kawiarka zapiszczała ze starości. Buchnął ogień. Zapach gazu i płomienia. Generalnie dobry start dnia.

Dexter w końcu zszedł po schodach. Nierówno. Potem jednak idealnie przeszedł między nogami, sterczącym ogonem ocierając się o łydkę, dając sygnał

do śniadania. Kawiarka również dała sygnał. Nalał do kubka, który sam kiedyś pomalował. W szczury, zagubione, spragnione szczury.

Lubił gorącą kawę. Kolejny proces pobudzania się. Ten delikatny ból gardła, gdy przeciska się przez nie gorąca ciecz. Kiedyś do kawy by zapalił, żeby się równocześnie nieco przytłumić. Ale to było kiedyś. Chociaż teraz chętnie by zapalił. Nie ma świadków, no ale nie ma papierosów. Może skoczę do 7-Eleven? Zły pomysł. Włączył głośno muzykę, *Mandrill* Martina Gore'a. Genialne basy.

Przeciągnął się, aż usłyszał niezdrowe chrupnięcie w kręgosłupie. Nawet uśmiechnął się do siebie. Cóż, jego też dosięgła praca z domu. Obrócił się na ścianę pełną wieszaków, starych wieszaków na ubrania, ale i współczesnych. Nie pamiętał, ja to się zaczęło. Te wieszaki. A może i wiedział, ale nigdy tego nie wyartykułował, nawet w myślach. Zbierał wieszaki od lat, zwykłe, nawet takie opuszczone. Znajomi znali tę jego przypadłość i przynosili mu egzemplarze z coraz bardziej niezwykłych miejsc. Sam zaczął i takich poszukiwać – miał wieszak z szatni z MoMA, z Guggenheim Museum czy Luwru, z restauracji El Bulli, Mugaritz czy The French Laundry, z Sorbony, University of Oxford, ze sztokholmskiej Konserthus, gdzie wręczane są Nagrody Nobla, z domu Andy'ego Warhola, Jacka Nicholsona, Davida Lyncha i Stanleya Kubricka, siedziby NASA, byłego obozu Auschwitz.

Telefon.

Zawsze reagował bardziej irytacją niż zaciekawieniem. Na szczęście to Steve, którego telefony działały na niego przeważnie kojąco, czasem mobilizująco. Prawie zawsze. Mimo że zerwali współpracę ponad dziesięć lat temu, Tony wciągnął go do tej jednej, wspólnej akcji. Już nawet nie pamiętał, dlaczego przestali ze sobą współpracować. Małostkowość świata sztuki, tymczasowość. Cholera wie.

– Cześć, Tony – Steve nie potrzebował stymulantów, był nakręcony cały czas. Rasowy promotor sztuki. – Jass i Ziggy wyjechali?

– Tak. Mam chwilę dla siebie. Miałem... – zaśmiał się dwuznacznie, ściszając Martina Gore’a. – Co tam?

– Wczoraj do późna pracowaliśmy. To znaczy ja robiłem za szefa jakości. Kilka dni i twój covidowy szpital będzie gotowy. Mamy podłączoną już całą instalację tlenową, respiratory, zostały ostatnie malowania, no i ostateczny wybór statystów. Niewiele.

Steve zawsze mówił, że niewiele zostało, chociaż Tony wiedział, że do końca, do takiego końca, jakiego on by chciał, jest znacznie więcej niż niewiele. Ale tym razem podkręcał swoje wymagania do granic absurdu. Cały projekt miał powstać trzy miesiące temu, ale Tony wymyślał ciągle coś nowego, jakby nie chciał, by ta szpitalna instalacja rzeczywiście powstała. Steve wiedział dlaczego. I Tony wiedział, że Steve wie.

– Super – powiedział z nieco udawanym entuzjazmem, bez fajerwerków.
– Będę tam dzisiaj po południu. Może mnie odbierzesz? Dam ci później znać skąd.

– Spoko. Ale nie później niż o trzeciej. Chcę, byś naprawdę zobaczył to z widoku. Wygląda rzeczywiście dziwacznie. – Steve, śmiejąc się, zakasłał i Tony przypomniał sobie, że to kaszlenie Steve’a trwa już od kilku tygodni i poza niewielką dawką irytacji po raz pierwszy pojawiło się u niego zaniepokojenie. Chyba mam już lekką paranoję – pomyślał ponuro. – Nie później niż o trzeciej dam ci znać.

– To czekam.

Steve rozłączył się. Świetny gość. Steve Lazarides. Laz. Potomek cypryjskich Greków. Pewny siebie, dobrze ubrany, mający niesamowite wyczucie i instynkt do sztuki nieoczywistej, czasem wręcz wątpliwej. Fotograf i

wydawca, a przede wszystkim promotor sztuki ulicznej i undergroundowej. To w dużym stopniu dzięki Steve'owi kariera Tony'ego poszybowała na poziom stratosferyczny, do którego docierało obecnie tylko kilku współczesnych artystów z Wielkiej Brytanii... a może tylko Damien Hirst. Ale na pewno nikt wywodzący się z street artu. Malowanie z ręki, potem szablony, to robiło wielu. Zapewne równie dobrze. Siłą Tony'ego był zawsze intrygujący pomysł, społeczny, radykalny, najlepsza z możliwych lokalizacja, zabawa w *qui pro quo*. Kto jest kim, no tak – niewielu wiedziało, kim naprawdę jest Anthony Munro. Bardzo niewielu. Mniej niż dziesięć osób na świecie.

....

Kac pisał epitafium na jego zmęczonej czaszce, wypychając od środka zatruty toksynami mózg. Trzy doby imprezowania to było za dużo dla jego przemęczonego pracą ciała. Doczłapał do łazienki, by spojrzeć w lustro. Świetny cel. Twarz miał poszarzałą i poczerwieniałą, zależy, pod jakim kątem spojrzeć. Odkleił od górnej wargi sumiasty blond wąs, z głowy zrzucił kędzierzawą perukę. Wzdrygnął się. I odwrócił.

Jego niewielkie mieszkanie było w podobnym stanie jak on. Wprawdzie zdawał sobie sprawę, że nie imprezował tu lub w znacznej mierze nie tu, nie zmieniało to faktu, że wyglądało paskudnie. Odsłonił rolety. W Sydney już był koniec lata, ale takiej jesieni mogłaby pozazdrościć pozostała część globu. Było ciepło, nie za gorąco. Słońce stało wysoko, bardzo wysoko. Błękit nieba jak z kreskówki. Sięgnął po kostkę Rubika, którą nauczył się układać jakoś rok temu. Tym razem pogubił się na początkowych etapach schematu. Nie było dobrze.

Kawa, kawa. Koniecznie kawa. Dwie tabletki ibuprofenu. Znalazł magnez. Nie miał siły na tworzenie jakiegoś energetycznego superszota z dostępnych

składników. Odczekał pół godziny, metodycznie ogarniając swoją przestrzeń. Ból powoli ustępował. Poprawił kolejnym podwójnym espresso. Młody organizm regenerował się. Nieco zbyt wolno.

Raczej wszystko pamiętał. Korowód kolorowych, różnoplciowych dyskotek na Darling Harbour, poranki nieco bardziej szarawe z przebłyskami czy nawet iluminacjami na Kings Cross, rozmowy, wygłupy przyjaciół i nowo poznanych znajomych i znowu rozmowy, gdy wschód słońca nie był końcem ani początkiem, tylko kontynuacją.

Dzisiaj już musiał wylądować. Restauracja ze świeżo wystrzeloną trzecią gwiazdką Michelin w dalszym ciągu potrzebowała swojego szefa.

Zack wiedział, że rozpędzona machina restauracji The Box poradzi sobie przez pewien czas bez niego, ale już dosyć. Chciał i musiał tam być. To było jego całe życie. Odkąd skończył siedemnaście lat, spędzał w restauracji The Square kilkanaście godzin na dobę, bywało, że całą dobę. I kolejną. Ale wcześniej spędzał nieskończone poranki, próbując wykreować doskonały omlet, który usatysfakcjonowałby mamę. To ona była jego pierwszym szefem kuchni. Nawet zwracał się wówczas do niej: „yes, chef”. Niby udawali, śmiali się, ale wiedział, że zwężone oczy mamy wymagały doskonałości. Nieco rozrzedzona maoryska krew. Ona sama zrezygnowała z takiego życia, bo całkowicie uniemożliwiałoby jej to życie z rodziną tak, jak chciała. Zack był drugim dzieckiem i wówczas powiedziała definitywnie stop. Koniec wracania po północy do domu, koniec z zawalonymi rodzinie weekendami. Została szefem kuchni w domu, ucząc swojego zdolnego sous-chef. Przekazała go w ręce Jamiego Noxa, szefa restauracji The Square, który wrzucił Zacka na głęboki bulion eksperymentalnej kuchni. Ale Jamie oprócz szefowania uwielbiał bycie celebrytą i uwielbiał też kokainę. I to ona z nim tańczyła, nie on z nią. Zack też nie był święty, ale poziom absurdu, na który weszła kuchnia Jamiego, zaczął go pochłaniać w całości. Zack

odszedł. W wieku dwudziestu pięciu lat założył własną restaurację przy wsparciu finansowym kilku osób z wąskiego, rodzinno-przyjacielskiego kręgu. Powstało The Box. I teraz, dwa lata później, on ma trzy gwiazdki Michelin, które zdobył szybciej niż Marco Pierre White, niż Massimiliano Alajmo. Szaleństwo. Doskonałość. A nikt, niemal nikt nie wie, kim on tak naprawdę jest. I że bardzo boli go głowa.